

Mieszkańcy dworu i goście

Mieszkańcy dworu moniackiego przez całą wojnę utrzymywali żywe kontakty rodzinne i towarzyskie. Najczęstszymi i najmiłszymi gośćmi byli Świerczewscy z Mazanowa, oddalonego zaledwie o 12 kilometrów, które bryczką lub saniami pokonywało się mniej więcej w godzinę. Z Łopiennika przyjeżdżał czasami wuj mojej matki Jerzy Kochanowski z żoną Ireną i dziećmi: Izią, Jasiem i Markiem. Izia i Jaś nie włączali się w zabawy młodszych krewniaków, byli znacznie dojrzalsi i zaabsorbowani poważniejszymi sprawami, pod koniec okupacji - o czym dowiedziałam się dopiero w wiele lat po wojnie - zostali członkami zbrojnego podziemia, ona jako łączniczka i sanitariuszka w akowskim oddziale Zapory, on jako żołnierz BCh. Chyba rzadziej pojawiał się brat Jerzego, Adam, bardzo inteligentny, czytany i pełen towarzyskiej ogłady, ale dość nieapetyczny, gdyż nie przepadał za myciem.

Inny kuzyn Zembruskich, Kazimierz Boduszyński z Radlina, odwiedzał Moniaki z piękną żoną Hanką, z domu Rojowską, którą zapamiętałam z uwagi na jej nieprzyjemny, drewniany głos i jeden jedyny czarny loczek na czole.

Często przyjeżdżała i zostawała na dłużej zamieszkała w pobliskim Godowie krewna Zofia Olszewska, a także jej syn Jerzy, dobry lekarz, choć nieznośny gaduła.

Wakacje spędzała w Moniakach ciotka Marynka Dąbrowska z Warszawy, wdowa po Stefanie, spokrewnionym z Zembruskimi przez Gosiewskich. Miała czworo dzieci, starszą od nas i trzymającą się na dystans Hankę, syna Jędrka i moje rówieśniczki, bliźniaczki Jadzię i Teresę, podobnie jak ich brat niezwyklej wprost urody. Z rozmów dorosłych wnioskowałam, że są w trudnej sytuacji materialnej i muszą się na wsi odkarmiać. Naszą wiejską gromadkę irytował przemądrzały Jędrzek, wciąż porównujący każdą rzecz do czegoś „u nas, w Warszawie”, gdzie my nigdy nie byliśmy. Dziewczynki trzymały się razem, do nas nie Ignęły, więc nie wryły się w pamięć.

Do częstych gości spoza rodziny należeli ksiądz Marcin Ślósarz, proboszcz z Bobów, weterynarzostwo z Urzędowa, których nazwiska nie pamiętam, i zaprzyjaźniona z moją zmarłą babką wdowa Janina Pleszczyńska z Lublina, śliczna, przemiła, z niewiadomych powodów nazywana przez dzieci Babcią Grypcią.

Ze sporą regularnością pojawiała we dworze lubelska dentystka, p. Jadwiga Dziewulska, która przywoziła swoją nożną maszynę dentystyczną, zwaną „pszczołką”, i przez kilka dni z rzędu plombowała zęby domownikom, co upamiętnił rysunek inny gość, Tadeusz Zieliński.



Kolejka domowników do dentystki. Rysunek Tadeusza Zielińskiego

On i jego młodszy brat Jerzy wpadali z Warszawy, też na dożywienie. Zostawiali miłe pamiątki swego pobytu w postaci rysunków i laurek wspólnego autorstwa. Tadek, późniejszy profesor

warszawskiej ASP, tworzył szatę graficzną, Jurek pisał zabawne okolicznościowe wierszyki. Chyba raz odwiedził Moniaki ich najstarszy brat Antoni z żoną i raz siostra Barbara, późniejsza karmelitanka bosa. 27 stycznia 1941 roku tak o tych wizytach pisze Maria z Zielińskich Lutosławska do syna Zbigniewa: „Basia pojechała do Moniak i jak to czyni cała jej rodzina, tam utknęła, wszyscy oni tak dobrze się w Moniakach czują”.

Pamiętkę o wiele większej wartości artystycznej pozostawiła po sobie Maja Berezowska, która ukrywała się przed Niemcami w 1941 roku w Mazanowie i w Moniakach. Wdzięczna za gościnę namalowała akwarelami 10 portrecików dziedzierek i ich dzieci.

W lecie 1942 roku ukrywali się też u nas państwo Ossowsky (?), jak mówiono po wojnie, komuniści.

Dość długo odpoczywał i odżywał się na wsi jezuita, ojciec Anderson, współpracownik mojego ojca z RGO, człowiek tryskający humorem i chętnie włączający się w nasze szalone zabawy. On to latem 1942 roku przygotował Krzyśka i mnie do pierwszej komunii, do której przystąpiliśmy w kościele parafialnym w Bobach z grupą dzieci wiejskich, wyróżnieni tylko tym, że siedzieliśmy w pierwszej ławce, ja w kusiutkiej, przerobionej z czegoś sukience, Krzysiek w krótkich spodenkach.

Pamiętam również przelotną wizytę zaprzyjaźnionej z ciotką Olszowską ks. Marii Puzyniny, bo wydała mi się prześliczna w pelerynce z białej angory. Z jej trochę ode mnie młodszym synem Józkiem w ogóle nie chcieliśmy się bawić.

Do bardzo młodego i towarzyskiego rządcy, Juranda Plucińskiego, zjeżdżało liczne towarzystwo: jego siostra Nina, z Wałowic Dzita (Teresa) Hempel, jej bratowa Ilona, wdowa po poległym w 1939 roku Zdzisławie, oraz rządcą, Michał Rudowski, za którego później wyszła za mąż. W czasie tych wizyt wciąż mówiono o siostrze Dzity, p. Halinie Czarnockiej, wywiezionej przez bolszewików z majątku na Kresach do Kazachstanu, gdzie z wycieńczenia zmarł jej maleńki synek.

Przyjeżdżała też czasem do Moniak babcia Anielcia Dąbrowska i czytywała nam na głos „Małego lorda”.

Chyba tylko ze słyszenia i ze zdjęć znalazłam wielką przyjaciółkę siostr Zembrzuskich, Halkę Luchtównę, wielokrotnie w Moniakach wspomnianą, która jeszcze przed wojną wyszła za Niemca, a w czasie wojny zmarła po porodzie, bo straciła siły i chęć do życia.

Lata, upływające w Moniakach w kręgu wymienionych osób, nie rysują mi się w pamięci wyraziście, stanowią jeden ciąg dni, spędzanych na zabawach i nauce, psotach, różnych pracach, do których w przeciwieństwie do Krzyśka ja się garnęłam, i na jedzeniu, które nigdy żadnemu z nas, łakomczuchów, nie było obojętne. Tylko pewne zdarzenia nie wywietrzały z głowy, ale dzisiaj z trudnością umieszczam je w czasie, więc tylko po kolei wyliczam, te ważne obok całkiem błahych.

Zaraz po przyjeździe z Lublina w grudniu 1939 roku musieliśmy wyczuwać w Moniakach atmosferę przygnębienia, wywołanego okupacją, co po swojemu złośliwie wykorzystywaliśmy. Krzysiek wyszukiwał w różnych książkach i czytankach szkolnych wiersze o wzniosłej patriotycznej treści, uczył nas tych wierszy i kazał je deklamować babciom, aby staruszki pobudzić do płaczu. Wciąż jeszcze pamiętam początek takiego wiersza, bodaj Konopnickiej: „Przyszły Niemcy / przyszły wrogom nocą w cichy kraj / Zapłonęło wnet na niebie / Od łun krwawych jak w pogrzebie / Od gromnicznych świec...” Występy recytatorskie zakończyliśmy dopiero wtedy, kiedy babcie po raz pierwszy nie zalały się łzami. Uznaliśmy wówczas, że dłużej nie warto się fatygować.

Obie, babcia Zosia, kobieta tęga, zapewne cierpiąca na nadciśnienie, bo poddawana staroświeckiemu zabiegowi medycznemu, czyli przystawianiu pijawek, oraz jej młodsza siostra, babcia Marylka, drobniutka i szczupła, wiele wysiłku wkładały w wychowywanie nas w duchu miłości ojczyzny i to podsunęło nam wspomniany wyżej pomysł z recytacjami. Wiedzieliśmy, że jest wojna, lecz nam nie kojarzyła się z żadnym nieszczęściem, choć nawet na zapadłą lubelską wieś jej echa zaczęły docierać już na jesieni, kiedy w Moniakach pojawili się wysiedleńcy z poznańskiego, wspomniana już p. Rózkowska z dziećmi i inni, lokowani na wsi i prawie na pewno w domu przy wjeździe na groblę, zwanym bandosówką. Ich los dzieciom nie wydawał się straszny, mieli przecież zapewnione warunki do życia, pracowali, jak np. Sateja w ogrodzie, a Rózkowscy mieszkali obok, nie cierpieli widocznego niedostatku, w święta zasiadali z resztą domowników przy wspólnym stole.

W 1940 roku Niemcy zabrali naszego rządcę, p. Edwarda Tomaszewskiego, i podobno zaraz rozstrzelali gdzieś w lesie. Matka opowiadała mi po latach, że w okolicy różni panowie wcześniej zaczęli organizować ruch oporu, ale brakowało im doświadczenia konspiracyjnego, więc sporządzili spis

członków organizacji, który jakiś zdrajca z Opola dostarczył okupantom, czym ułatwił wyłapanie wszystkich nieszczęśników. Doskonale pamiętam, jak Niemcy, którzy przyjechali po pana Edwarda, szukali broni w słomie na krytym strzechą kurniku, bo tę akcję obserwowaliśmy z ogrodu. Dzieciom jednak nie powiedziano nic poza tym, że pan Edward został „zabrany”.

Wkrótce posadę rządcy objął po nim Jurand Pluciński, dziedzic Lusówka pod Poznaniem. Do swojego majątku nie mógł wrócić z centralnej Polski, gdzie znalazł się w wyniku działań wojennych, może jako żołnierz kampanii wrześniowej, w której na pewno poległ jego brat. Nie wiem, czy i Jurand brał w niej udział, zawsze jednak nosił się po wojskowemu, chodził w butach do konnej jazdy i bryczesach, jakichś bluzach przepasanych skórzanym pasem i w furażerze. Należał do AK, o tym jednak dowiedzieliśmy się dopiero w wiele lat po wojnie. Podobnie jak o jego zatargu z Mieczysławem Moczarem, którego ludzie byliby Juranda zabili, gdyby bosy nie zdołał uciec z miejsca egzekucji.

Jurand szczególną sympatią darzył moją matkę, a choć w 1945 roku, idąc niemal za frontem, uciekł na Zachód, długie lata spędził w Kongo, później zaś mieszkał w Belgii, korespondował z nią do jej śmierci, następnie ze mną i Mopsem. W każdym niemal liście, zwłaszcza świątecznym, wspominał szczęśliwe lata przeżyte w Moniakach. Pamiątką po nim jest ofiarowany w 1941 roku matce album ze zdjęciami Moniak, jak się okazało, już ostatnimi w ich dawnej krasie.

Zagrożeniem, o którym dość wcześnie po wkroczeniu Niemców zaczęto przebąkiwać, było zabieranie majątków na tzw. Liegenschaft i wyrzucanie z nich właścicieli. Nie rozumiałam wówczas, o co chodzi, pamiętam natomiast, jak fetowano tzw. Landwirta, przyjeżdżającego na inspekcje i wydającego jakieś opinie. „Nasz”, dobroduszny grubas na chudych nogach, przez dzieci zwany „jajem na zapałkach”, chętnie zasiadał do suto zastawionego stołu, jadł, pił i ewidentnie był zadowolony ze sposobu gospodarowania w Moniakach, ponieważ nigdy nie przeszły pod zarząd niemiecki.

Dla mnie osobiście rok 1940 pozostaje pamiętny jako ten, kiedy bezskutecznie próbowano nauczyć mnie konnej jazdy. Krzysiek, już wtedy wspinały kawalerzysta, bez trwogi dosiadał swojej narowistej kasztanki i robił dalsze wycieczki, ja natomiast musiałam na fornalskim siwku jeździć dokoła gazonu. Siwek, znudzony po jednym okrążeniu, włąził w krzaki i zrzucił mnie w pokrzywy. Oczywiście z nauki nic nie wyszło.

Bodaj w zimie z '40 na '41 rok Mops dostał zapalenia ucha środkowego. Pamiętam, jak godzinami ryczał z bólu, jak matka nosiła go na rękach, co wcale nie pomagało, jak przyjechał z Urzędowa lekarz i powiedział, że kiedy zaczniesz sztywnieć, to będzie koniec (tyle zdołaliśmy z Krzykiem podsłuchać, bo dzieci w takie sprawy nie wtajemniczano). Matka z opatulonym, wrzeszczącym tłumoczkciem ruszyła saniami do Lublina, gdzie laryngolog dr Świtek, trzykrotnie przekuwając bębenek, uratował malcowi życie.

Pewnie już w 1941 zaczęły przychodzić z lasu „bandziory”, jak ich nazywali dorośli, więc i my także. Nigdy, nawet po latach, kiedy przyznanie się do tego przestało komukolwiek zagrazać, nie słyszałam, aby nas odwiedzali akowcy. Najczęściej trafiali się zwykli rabusie, może czasami partyzanci z BCh czy AL, raz przyszli Żydzi i zabrali różne ubranka malutkiego Mopsa, czego matka wtedy nie potrafiła zrozumieć, nieświadoma, że razem z rodzinami żyją w ziemiankach, ukrytych w głębi lasów. Począwszy od następnej zimy, pojawiali się też zbiegli z niemieckich obozów rosyjscy jeńcy wojenni.

Taka nocna wizyta (do naszego wyjazdu zanotowano ich 50, potem jeszcze 100) zawsze była wydarzeniem. Z rzadka ograniczała się do podwórza, skąd goście zabierali żywność, zostawiając zresztą pokwitowania, o które ich proszono, bo majątki musiały oddawać Niemcom kontyngenty, więc należało ze wszystkiego się rozliczać.

Znacznie częściej przybysze dobijali się do domu i wchodzili frontowymi drzwiami, przez hol do stołowego i kancelarii. Nawet pogrążona w najgłębszym śnie, zawsze potrafiłam wyczuć ich węchem, bo - niedomocy - strasznie cuchnęli potem, brudną odzieżą, lichą machorką i alkoholem. Zazwyczaj podejmowała ich moja matka, w chwilach niebezpieczeństwa bardzo opanowana. Na wstępie prosiła o przecięcie drutów telefonicznych, co uniemożliwiało obowiązkowe powiadomienie granatowej policji. Raz z własnej inicjatywy zadzwonili na posterunek w Urzędowie, zameldowali, gdzie są, i obiecali czekać do rana, naturalnie jednak nie zjawił się żaden policjant ani Niemiec.

Do wizyty bandziorów co wieczór robiono staranne przygotowania. W zimie prędko suszono naszą ciepłą odzież, zmoczoną po kuligu, ślizgawce czy bitwie śnieżkami, upychano ją w schowku nad frontowymi drzwiami, utykano gdzieś rzeczy wartościowe. W obawie przed zabrudzeniem podłogi rozpościerano na niej w holu i w stołowym plandeki. Na kredensie nieodmiennie stawiano butelkę wódki, michę kiszonej kapusty i razowy chleb, który Rosjanie wączali, żeby się nie upić.

Z plandeką związana jest nietypowa historia. Zima, jak wszystkie wojenne, była surowa, Rosjanie pod dowództwem urodziwego Koli przyszli wcześniej, nim przykryto podłogę, więc matka poprosiła, żeby poczekać na ganku, na co zgodnym chórem odparli: „Charaszo, stara matka”, tak ją bowiem nazywali rosyjscy partyzanci, choć miała niewiele po trzydziestce.

Bodaj najczęstszym gościem we dworze był Makar, ukrywający się w pojedynkę w stogu za Dąbrówką, niedaleko od ogrodu. W Wigilię 1941 albo 1942 roku, kiedy wszyscy siedzieliśmy przy stole, wszedł służbowymi schodami na piętro, gdzie narobił hałasu. Zebrani w stołowym myśleli, że to któryś z braci Zielińskich chce zrobić niespodziankę, więc nikt na te hałasy nie zareagował. Chwilę później Makar stoczył się po schodach do holu, a na widok siedzącego przy wieczerzy towarzystwa wyciągnął pistolet i z okrzykiem: „Na zdar!”, strzelił w sufit. My z Krzyśkiem marzyliśmy o kolejnym strzale, tym razem w lampę naftową, bo w ciemnościach moglibyśmy się rzucić na ulubiony przysmak, makagigi. Natomiast Andrzejek Olszowski, siedzący obok matki u szczytu stołu, rozryczał się wystraszony. Makar z pijackim bełkotem wycelował w jego stronę, na co całe towarzystwo zamarło z przerażenia. Sytuację uratowała moja matka, przytomna jak zawsze. Wyprowadziła Makara do salonu pod pozorem, że chce mu pokazać choinkę, a w ślad za nimi podążył Mops, który dopytywał, czy Makar jest „ruski”, przesyłał bowiem wszystkie nocne wizyty i nigdy przedtem nie miał okazji widzieć partyzanta.

Po wyjeździe z Moniak, chyba zimą 1943 roku, dowiedzieliśmy się, że biedny Makar źle skończył. Pijackimi awanturami od dawna zrażał do siebie chłopów, miarę zaś przebrał, kiedy w czasie czyjegoś pogrzebu ostrzelał w Bobach trumnę z nieboszczykiem. Rozwścieczeni zatłukli go kijami.

Z kolei którejś nocy moja dzielna matka najadła się strachu, bo podpici Rosjanie przyprowadzili rannego do opatrzenia i zaczęli wyrzucać granaty z kieszeni na podłogę, ona zaś nie wiedziała, czy za chwilę nie wyleci z całym domem w powietrze.

W lecie 1942 roku niebezpieczeństwo ze strony bandziorów zagroziło dla odmiany ojcu, i to przeze mnie. Na skutek upadku z wysokiej huśtawki złamałam nos, twarz gwałtownie mi puchła i siniała, a choć bawiący akurat z wizytą Jurek Olszewski zrobił mi zastrzyk przeciwzęczowy, zachodziła obawa o moje życie. Wezwany telefonicznie przez matkę ojciec przyjechał nazajutrz z Lublina, posłał na wieś po duży kosz wiśni i zasiadł do ich jedzenia na gazonie obok kozetki, na której ułożono mnie jako chorą. Około czwartej po południu zawitali z lasu goście. Dobrze pamiętam ryżawego, pełniącego wartę przy bramie od strony czworaków, podczas gdy jego koledzy buszowali po domu. Wkrótce ruszyli przez podwórze w stronę Podlipia i wtedy ktoś z domowników zauważył, że zabrali mój zegareczek, poprzedniego wieczora przez zapomnienie pozostawiony na nocnym stoliku. Ta wiadomość wycisnęła mi łzy z oczu, więc ojciec natychmiast posłał za bandziorami Wacka od kowala, wyposażony w stuzłotowy banknot. Wacek wsiadł na rower, dogonił ich bez trudu, wyłuszczył sprawę i odkupił mój dziecinny zegarek, wybrany spośród kilku innych na przedramieniu jednego z bandytów. Ten, rozgniewany na dziedzica, który zarzekał się, że nie ma pieniędzy, a raptem je znalazł, zapowiedział, że w nocy przyjdzie dać mu nauczkę. Głuchy na błagania matki ojciec nie zgodził się na wyjazd choćby do Urzędowa, więc kiedy w nocy rozległo się walenie do drzwi i męskie głosy, ona, przytomna jak zawsze, poleciła mi usiąść przy moim łóżku, przybyszom zaś starała się wytłumaczyć, że nie powinni wchodzić do pokoju, gdzie leży chore dziecko. Mimo to któryś wetknął przez szparę w uchylonych drzwiach czarną, kudłatą głowę, po czym szybko ją cofnął, przestraszony, gdyż moja sina, straszliwie opuchnięta twarz mogła świadczyć, iż cierpię na jakąś chorobę zakaźną.

Innym znów razem byłam świadkiem śmiesznej rozmowy ojca z nocnym gościem, z niezrozumiałych powodów prowadzonej w pokoju dziecinnym. Bandzior domagał się pieniędzy, ojciec z typową dla siebie flegmą w kółko powtarzał, że wystawi mu czek do zrealizowania w banku w Lublinie. Czek nie został przyjęty, później zaś ojciec się przyznał, że pieniądze miał schowane w rannym pantoflu.

Napady były najbardziej emocjonującą częścią naszego ówczesnego życia, które poza tym płynęło na tyle monotennie, że do rangi wielkich urastały wydarzenia dość błahe, jak np. to, że w mej głowie załęgły się wszy, że Jurand w trakcie zabawy upuścił mnie na ostry kant tapczanu, w który rąbnęłam głową, że piorun uderzył w gazon, na którym właśnie bawił się Krzysiek.



Na ganku siedzą od lewej: Tadeusz i Hanna Dąbrowscy, Zofia Olszowska, Tomasz Solman, wypina się Zosia Dąbrowska, a p. Plucińska stoi w głębi zgorszona

My z Krzyśkiem, będąc w wieku szkolnym, przerabialiśmy kolejne klasy z podręczników dziedziczonych po Świerczewskich, nie pamiętam, pod czyim nadzorem, mieliśmy też konwersację niemiecką z p. Rózkowską, którą w lecie najchętniej wyciągaliśmy do lasu, gdzie mogliśmy pod pozorem zbierania poziomek unikać rozmów w obcym języku. Lubiliśmy czytać, na ogół to ja czytałam wygodnemu z natury Krzyśkowi, zafascynowanemu w tym czasie Napoleonem, toteż naszą podstawową lekturę stanowił „Huragan” Gašiorowskiego i podobne powieści o epoce małego cesarza, ale i takie, jak „Białe róże” czy „Orleńta lwowskie”. Podobały nam się też, z uwagi na ilustracje, ściągane ze strychu „Kłosa”.

Ja, w przeciwieństwie do stworzonego do wyższych rzeczy Krzyśka, z zapalem pomagałam dorosłym. Na przykład z babciąmi bez końca rozplątywałam sznurki, potrzebne chyba do paczek, których mnóstwo wysyłano z Moniak do różnych znajomych oficerów w oflagach, do mojego stryja Józefa Dąbrowskiego do Buchenwaldu, do głodujących w Poznaniu Lutosławskich i Anny Solman, matki Tomasza. Babcie zawsze powtarzały, że ta praca jest sprawdzianem, czy panience wystarcza cierpliwości, nieodzownej w małżeństwie. Nauczyłam się drylować owoce, nawet porzeczek, z których smażyono konfitury, płukać truskawki w spirytusie, żeby się lepiej przechowywały, zakrywać słoiki umaczanym w spirytusie krążkiem celofanu. Do drylowania zasiadały wszystkie kobiety w domu, a mnie cieszyła przynależność do ich grona. Najprzyjemniejsze było smażenie jabłek na serki. Wysmażanie trwało strasznie długo, a że w dodatku z garnka przyskała gęsta masa, aby nie brudzić w kuchni, wykopywano w cieniu pod lipami dołek na palenisko, na nim stawiano gar, po czym mieszano pulpę drewnianą kopyścią.

Chętnie chodziłam z p. Plucińską do kuchni, spiżarni, do drobiu, dzięki czemu wiedziałam, co się dzieje w gospodarstwie i którym kluczem otwiera się drzwi, broniące dostępu do przysmaków, takich jak pierniki czy orzechy. Ponieważ nie w każdą niedzielę, zwłaszcza w zimie, wożono nas do kościoła w Bobach, w porze mszy wyciągałam z pokoju p. Plucińskiej klucze i dobieraliśmy się do słodyczy. Z piwnicy pod oranżerią, w braku klucza, wykradaliśmy jabłka przez małe okienko, nabijając owoce na przywiązany do kija scyzoryk.

Moje zainteresowania gospodarstwem rozciągały się na ogród i chętnie uprawiałam grządki, które dostaliśmy w tym celu. Pewnego razu letnia ulewa zniszczyła je doszczętnie i ziemię wraz z roślinami uniosła do sadzawki. Jurand uwiecznił na zdjęciach pozostałe po nich dziury.

Bez protestów i z całą odpowiedzialnością opiekowałam się trzema młodszymi chłopcami, tzw. malcami. To z ich pomocą na jesieni 1942 roku, kiedy Niemcy zaczęli skupować kasztany, potrzebne im do jakiejś produkcji (może chleba?), uzbierałam bodaj 500 kilo i dostałam honorarium w naturze: papierosy i zapalki, które skrzętnie ukryłam pod łóżkiem przed oczami bandziorów.

Nie przeciążeni obowiązkami, mnóstwo czasu spędzaliśmy na zabawie. Zabawy zmieniały się wraz z porami roku. W zimie jeździliśmy na łyżwach po sadzawce albo na sankach, najchętniej na kuligi, zwłaszcza gdy przyjeżdżali Świerczewscy i zaprzężone w konia sanie ciągnęły rząd saneczek, a na nich naszą piątkę, bo Mops i Andrzej byli na to jeszcze za mali. W tamtych latach padały obfite śniegi, powstawały olbrzymie zasy, pod którymi potrafiła się skryć na podwórzu pompa wraz z

korytem, więc jeżdżąc po takich zwałach śniegu wciąż spadaliśmy z sanek i do domu wracaliśmy jak bałwany.



Od lewej: Stefanek Olszowski, Zosia Dąbrowska, Wojtek i Marysia Świerczewscy, Krzysiek Dąbrowski na kuligu

Jednej zimy, chyba niedopilnowani przez dorosłych, postanowiliśmy zbudować na wyspie szałas. Siekierką Krzyska wyrąbaliśmy 14 młodych modrzewi, drzew już wtedy pod ochroną. Kiedy prawda wyszła na jaw, bo w ferworze pracy pocięliśmy dyndające na sznurkach rękawiczki, spotkała nas surowa kara.

Z zimowych zabaw w domu najwyraźniej pamiętam robienie ozdób choinkowych: łańcuchów ze słomy i bibułki, bombek z bibułkowych kwiatuszków i koralików, wbijanych na szpilkach bodaj w plastelinę, ptaszków, zwierzątek z wydmuszek. Zajęci tym byliśmy długo, bo choinka zawsze sięgała pod sufit, a całą należało przystroić. Raz, w twórczym zapale, zbyt nisko pochyliłam się nad lampą, od której zapaliła mi się kokarda na głowie.

W porze wiosennych roztopów strasznie ciągnęło nas na dwór, w ogrodzie bowiem tak dużo się działo: zaczynał topnieć śnieg, tworzyły się strużki, wodospady, mogliśmy budować tamy, odwracać bieg strumieni, próbować, czy lód na sadzawce już pęka.

W miarę zbliżania się wiosny urządziliśmy wyprawy po bazie, przylaszczki, kaczeńce, a potem nadchodził maj, moje imieniny - dzień, którego wagę od rana podkreślało krzesło i nakrycie solenizantki w stołowym, przystrojone kwiatami. W tym miesiącu obowiązkowo uczestniczyliśmy w nabożeństwach majowych, zazwyczaj odprawianych przez moją matkę w salonie, przy fortepianie. Śpiewana po odmówieniu Litanii pieśń *Chwalcie łąki umajone* do dziś kojarzy mi się z Moniakami.

W czasie wakacji całe dni spędzaliśmy na dworze. Jeśli przyjeżdżali Świerczewscy, robiliśmy trochę dalsze wyprawy, Maryśka i Krzysiek konno, ona najchętniej na oklep, my z fajtlapą Wojtkiem na rowerach. Raz Wojtek miał niebezpieczną przygodę, bo gdy dla odmiany dosiadł cugowej kłaczki Sójki, ta go poniosła, on zaś na progu stajni omal nie rąbnął głową w belkę.

Nasze rewizyty u Świerczewskich w Mazanowie należały do największych przyjemności, bo była tam rzeczka, w której zażywaliśmy kąpeli, a słynna z gościnności ciotka Marysia karmiła nas różnymi przysmakami. Jedną z takich wizyt szczególnie utkwiała mi w pamięci: w nocy rozpętała się straszna burza, paliły się okoliczne wsie, krzyki i lamenty ludzkie oraz ryk zwierząt budziły taką grozę, że we czwórkę siedzieliśmy w jednym łóżku, z głowami nakryci kołdrą. Po tej burzy w Moniakach poustawiano piorunochrony, w bzach przed i za domem.

Z Mazanowa chętnie chodziliśmy przez las do sąsiedniego majątku, Krasnego, należącego do siostry wuja Stefana, Ireny, żony lekarza Stanisława Jabłońskiego. To bezdzietne małżeństwo musiało nam okazywać dużo serdeczności, bo lubiliśmy ich i nazywaliśmy ciocią i wujkiem.

Główną atrakcją moniackich jesieni stanowiły kasztany, służące za pociski w staczanych przez nas bitwach, a także za materiał do wyrobu ludzików, grzybków, mączki, różności. Naturalnie bardzo lubiliśmy asystować przy zbiorze jabłek i uczestniczyć w dorocznej wyprawie furą do Wandalina po włoskie orzechy.

Niezależnie od pory roku bawiliśmy się, jak to dzieci, w wojny, wyścigi, podchody, berka, głuchy telefon, chowanego, chętnie ze starszymi, przed którymi mogliśmy się popisać prędkością,

pomysłowością czy siłą. Rozbrykani, łatwo przebieraliśmy w zabawach miarę albo broiliśmy z rozmysłem, za co spotykały nas różne kary, jak klapsy czy zamykanie na klucz w pustym pokoju, abyśmy ochłonęli.

Jak na dzieci wiejskie przystało, dużo czasu spędzaliśmy ze zwierzętami i posiadliśmy sporą wiedzę na ich temat. Kiedy byliśmy jeszcze całkiem mali, dostaliśmy dwa jeże, ale nie hodowaliśmy ich długo, bo jeden utonął w sadzawce, a drugi zamarł w lodowni.

Zupełnie nie pamiętam z Moniaków prócz jednego podwórzowego, przywiązanego na łańcuchu, choć o czymś innym świadczy list Krzyśka z wiosny 1940 roku, pisany do ciotki Róży do Poznania: „Pan Edward dał nam psa. Dzisiaj Ralf zaatakował mnie z Reksem”. Doskonale natomiast pamiętam drób, bo z jajek robiliśmy ulubiony kogel-mogel. Jeśli nie mieliśmy kurzych, szukaliśmy na wyspie jaj kaczych, które następnie, po korzystnym kursie, wymienialiśmy z p. Plucińską na kurze. Chyba w 1942 roku dostaliśmy od ciotki Marysi pięć kur i odtąd każde z nas miało własne jajko, gdyby Krzysiek nie uznał się za eksperta od ich rozpoznawania i nie twierdził, że wszystkie znosi tylko jego kura, z czym się godziliśmy, gdyż jako najstarszy z nas, cieszył się niepodważalnym autorytetem.



Mali Dąbrowscy i Olszowscy z kurami na ganku przy pokoju babć

Bawiliśmy się wszystkim, co żywe, nawet liszkami, glistami, żabami i żabim skrzekiem, służącym do wyrobu galaretek dla pluszowych misiów. Ale najukochańszym, wielokrotnie w późniejszych latach wspomnianym towarzyszem naszych zabaw był baran, Tryk. Nie wiem, kiedy wpadliśmy na pomysł, że można go drażnić, po czym ratować się ucieczką, ale na pewno przez ostatni rok pobytu w Moniakach robiliśmy to codziennie. Po południu Tryk chodził sobie z owcami po podwórzu i wtedy go zaczepialiśmy. Szarżował ochoczo, zawsze jednak udawało nam się wskoczyć na płot, sąg drzewa, furę czy któreś z narzędzi rolniczych. Po naszym wyjeździe z domu Tryk, zdaniem służby, wyraźnie posmutniał i osowiały snuł się po podwórzu, dopóki nie uśmierciły go bandziory i nie poniosły do lasu, na pamiątkę pozostawiając jedynie ucięty łeb.

Na zakończenie opisu tych dziecięcych rozrywek scharakteryzuję piątkę najmłodszych mieszkańców Moniak.



Dzieci na bryczce, przy której stoi Marceli Rysztak

A więc Krzysiek, prowodyr, umiejący wymagać posłuchu, żywy, pomysłowy, inteligentny, zawsze mierzący wysoko, o czym świadczy chociażby jego podpis na liście do ciotki Lutosławskiej z grudnia 1940 roku: „Wielki Marszałek wojny, dworu i sił zbrojnych Jego Cesarskiej Mości Napoleona I-go Kristofor Dąbroni rex”. Jemu należało się wszystko, co najlepsze, więc bezwstydnie ograbiał nas z jajek czy co smakowitszych kąsków, kazał się obsługiwać, np. mnie czytać na głos lub sprzątać zabawki.

Ja, spokojniejsza od brata, pracowita, chętnie pomagająca dorosłym, bezwstydnie nadużywałam ich zaufania, podkradałam pani Plucińskiej jajka spod wysiadających je kur albo słodycze ze spiżarni, potrafiłam się wciskać przez kraty i wnosić z graciarni obok kuchni najrozmaitsze skarby. Po złamaniu nosa na huśtawce bałam się tylko oderwać od ziemi, co utrudniało skakanie ze stert, usłużny Krzysiek jednak w porę mnie popychał.

Stefanek Olszowski, śliczny, delikatny blondynek o niebieskich oczach, dobry i łagodny, nie wiadomo dlaczego przezywany Pecyną, usilnie zabiegał o przyjęcie do bandy, złożonej z częstych gości, Świerczewskich, nas dwojga i Andrzeja Rózkowskiego. Uważaliśmy, że jest za „miękki” na jej członka, toteż poddawaliśmy go różnym okrutnym próbom, jak wielokrotne przeskakowanie ze sterty na stertę, co znosił bez skargi, aż wreszcie awansował z grupy malców do naszej.

Nie przystał w niej jego młodszy brat Andrzej, przezywany Dziubrem lub Orzeszkiem z racji ciemnych oczu i śniadej cery. Odznaczał się wyjątkową wprost urodą, bo do tych oczu i opalenizny miał blond loki i w ogóle wygląd cherubinka. Świadomy tego, że budzi powszechny zachwyt, wkraczał do salonu, ilekroć przyjechali goście, i bezwstydnie kręcąc kuprem domagał się hołdów. My, dzieci zdecydowanie brzydsze, z zazdrości przewaliliśmy go pieskiem salonowym.

Na jego tle najbardziej niekorzystnie prezentował się drugi malec, Mops, młodszy o parę zaledwie miesięcy, grubasek dość paskudny, lekko sepleniący, obżarty, zawsze jedzący dwa jabłka naraz, wyjątkowy brudas i niechluj, przez jakiś czas dodatkowo zeszpecony kolonią kurzajek na policzku. Wyznał kiedyś matce, do której był dosłownie przylepiony, że tak by chciał mieć „carne ocka”. Nie miał ich, odznaczał się natomiast wielką pogodą ducha i miłym usposobieniem, czym zaskarbiał sobie ogólną sympatię.

Ostatnim pamiętnym wydarzeniem, poprzedzającym rozstanie z Moniakami, była wizyta ciotki Róży Lutosławskiej, której nie widzieliśmy od wybuchu wojny, a która z urodzoną w 1940 roku córeczką Wandą otrzymała specjalną przepustkę, upoważniającą do spędzenia dwóch tygodni u rodziny w Generalnej Guberni. Dało to nam okazję do zawarcia znajomości z najmłodszą przedstawicielką naszego pokolenia.



Wanda Lutostawska z Jurkiem Zielińskim. Luty 1943 roku